

Poezja z czerwonym szalikiem

Zastanawiam się, jakie pytania zada poezji Piotra Mitznera przysły monografista jego twórczości. Ciekawi mnie też, czy porówna tomiki poety i zauważy, jak zmieniają się w nich konkretne wiersze. Czy zafrapuje go na przykład, dlaczego utwór *Nauka kompozycji* z tomu *Zmiana czasu* (1990) traci swój tytuł w wydanym dekadę później tomie *Myszoser* (częstsza w literaturze jest przecież sytuacja odwrotna) oraz jakie są konsekwencje interpretacyjne pozostałych zmian, świadczących o tym, że te dwa teksty, pozornie identyczne, nie są tożsame? Myślę też o tym, czy badacz tej twórczości zwróci uwagę na formę biogramów poety pojawiających się w kolejnych tomikach – czy dostrzeże różnice, jakie kryją się w tych notach, i uzna je, podobnie jak ja, za ciekawe narzędzie autokreacji.

Pewne jest – bo są ku temu oczywiste podstawy – że badacz, który podejmie próbę syntezy poezji Piotra Mitznera, podkreśli językowy słuch poety, jego naprawdę niecodzienną wrażliwość lingwistyczną, ba, intuicję, która prowadzi do skutecznych zmagani z płynną językową materią. Myślę, że do ważnych kategorii, które pomogą tę twórczość opisać, zaliczy między innymi ironię, absurd, epigram, muzyczność, cykl. A jeśli będzie odważny, zaryzykuje tezę o ambicji tej poezji. Gdybym sam miał to zrobić, powiedziałbym, że bliska jest ona tej, którą Czesław Miłosz sformułował w wierszu *Fotografia*: „Widzisz, jak się staram/ Dosięgnąć słowami/ Tego co najważniejsze/ I jak przegrywam”. Krygujący się Miłosz wielokrotnie obwieszczał swoją porażkę. Mitzner inaczej stara się o względy czytelnika, nie sięga po topos niewyraźności w sposób bezpośredni, choć u podstaw jego poezji, jak się zdaje, leży między innymi imperatyw karkołomnego siłowania się z językiem, chęć przechytrzenia gracza, który ustala i narzuca reguły gry. W wypadku Mitznera to próba paradoksalnie zwycięska: jego poezja, penetrując swój budulec, często dowodzi ograniczeń własnej materii, a przecież jednocześnie nazywa rzeczy i doświadczenia tego świata w sposób unikalny, zawsze zaskakujący, rewelacyjny. Zwycięża, bo tworzy własny język, wyzwala się z gorsetu form, bawi się nimi. Respekt przed językiem nie paraliżuje poety, nie prowadzi do strachu, wycofania, beznadziei – stanowi wyzwanie. W każdym tomie Mitzner pokazuje językowi język.

Wiersze Piotra Mitznera są dla mnie często lekcją pokory, nie tylko wobec języka. W tym kontekście moją stałą lekturą jest *Uczeń czarnoksiężnika* z tomu *Zmiana czasu*. Powracam do tych wersów, gdy zdaje mi się, że WIEM. Przypominają mi o mistrzach, których wiedza była – lub jest – nieporównywalnie większa, zapewne nieosiągalna. Czytam ten wiersz jak przypowieść o cwaniactwie, niecierpliwości, o postawie, którą rządzi młodzieńcza pycha (choć być może to wiersz bardziej, niż mi się zdaje, uniwersalny

i mowa w nim o cechach, które nie są domeną młodości, lecz świadczą o pospolitej głupocie). Myślę, że – podobnie jak tytułowy uczeń – byłbym zdolny nabić mistrza w butelkę i rzucić w mrok. Czeladnik ma satysfakcję, gdy potrafi oszukać mistrza nowo poznanym zaklęciem. Walczy tak o swoją suwerenność, choć długo może ona być jedynie pozorna. Bez rady mistrza na podporządkowaniu szybko zaczyna się gubić, bać. Zdaje sobie sprawę, że jego czas samodzielności jeszcze nie nadszedł, że – poza nabijaniem w butelkę – nadal niewiele potrafi, wychodzą mu jedynie marne sztuczki, jakieś doraźne czary-mary. A świat potrzebuje prawdziwego czarodzieja, który nie pomyli rzucanych uroków, będzie odpowiedzialny. Cóż, jestem jeszcze uczniem czarnoksiężnika, uczniem marnotrawnym, który przeszedł powierzone mu zaufanie i panicznie szuka pomocy: „Zagląda do każdej butelki/ szuka mistrza/ żeby wziął za rękę/ żeby wyczarował/ cokolwiek”.

Imponująca jest lapidarność poezji Piotra Mitznera, jej oszczędność i dyscyplina. To twórczość, która unika oczywistych ozdobników, chętnie sięga po wyimki języka potocznego. Wszystkie te jej cechy, każda na swój sposób, uczą mnie, że przeznaczeniem poezji nie jest udział w błyskach parnasy, lecz przyjaźń z żywotem codziennym, pozornie błahym i niegodnym poetyckiej transpozycji, kryjącym jednak niespodziane pokłady metafizyczne. Poezja Mitznera jest zawsze blisko życia, pozwala czytelnikowi na utożsamienie się z lirycznym „ja” i tej perspektywy nie boi się ani się przed nią nie wzbrania. Najbliższe być może są mi właśnie te wiersze, które o tym przypominają: „Wzlot wzlotem/ a trzeba zdjąć spodnie/ potem założyć spodnie// Upadek upadkiem/ a trzeba się obrócić/ na drugi bok” (z tomu *Myszoser*, bez tytułu).

Tylko wielki poeta jest odrębny w sensie generalnym, to znaczy, gdy nie mówimy jedynie o wyróżniku formalnym czy eksploataowaniu egzotycznej niszy tematycznej. Nie wiem, co można zarzucić poezji Piotra Mitznera, ale z pewnością nie można powiedzieć, że jest to twórczość nudna, przeciętna, w jakimkolwiek sensie typowa, niezaskakująca. Historia literatury XX i XXI wieku przeznaczy jej oddzielny rozdział, bez etykiety „poezji nurtu lingwistycznego”, „poezji religijnej” czy innych. Wszystkim się wymknie. Być może da się jedynie nazwać kolor jej intensywności, którym jest według mnie głęboka czerwień – kolor życia, pasji, temperatury. To czerwień dystynktywna, przeciwstawiająca się ofensywie rzycałtu barw: „żeby szaroburość/ dała spokój/ wystarczy jej/ odburknąć/ wspanak// albo mieć szalik/ czerwony/ wchodząc do biura// gdzie warczy/ niszczarka kolorów” (*Jesienna kolekcja*).